JERZY KORKOZOWICZ

PRZYSYPANE PIASKIEM

Nie wiem, czy i jakie wnioski dydaktyczne można wyciągnąć z lektury „Opowiadań kołymskich" Warłama Szałamowa. W każdym razie nie da się u n i e w a ż n i ć tej małej książeczki (właściwie grubszej broszury), licho wydanej trzy lata temu w nieoficjalnym obiegu. Mamy — zdawałoby się — już jakieś doświadczenie czytelnicze w dziedzinie piśmiennictwa poświęconego obozom niemieckim, znamy też trochę Sołżenicyna, Bukowskiego, Wata. Szałamow jest z nich wszystkich może i... najokrutniejszy, a ściśle mówiąc — spotkało go wyrafinowane męczeństwo i zgodnie z prawdą je opisał.

Chodzi mianowicie o ćwierćwiecze pobytu tego rosyjskiego pisarza w łagrach skupionych nad rzeką Kołymą w północnowschodniej części Syberii. Jak wyjaśnia Dariusz Cherubin w swojej pracy „Ludność polska w więzieniach i obozach radzieckich w latach 1939-41" („Rytm" '89), kołymskie kopalnie złota i ołowiu wchodziły w skład olbrzymiego kompleksu karnych obozów, „Dalstroj". Umieszczano tam skazanych na długoletnie kary, także Polaków. Szałamow rozpoczął swoją katorgę jeszcze jako młodzieniec w 1929 roku i należał do więźniów — założycieli radzieckiego systemu karnego, do tych, którzy łagry „powoływali sobą" do życia.

Autor „Opowiadań" pamięta transporty dowożące drogą morską wciąż nowe dziesiątki tysięcy skazanych. Pisze też o pewnym statku, na którym wybuchł bunt więźniów. Przy arktycznej temperaturze uśmierzono go strumieniami wody. W rezultacie do portu dowieziono tylko niewielką ilość istot żywych. Znęcanie się nad „zekami" (żargonowa nazwa więźniów) wspomagała okrutna przyroda. Rzeki zamarzały na osiem miesięcy, a przez znaczną część roku prawie nie widywano słońca. Pobyt w karnym obozie bohatera opowiadania Sołżenicyna, Iwana Denisowicza, wydaje się o wiele znośniejszy. Także i stopień wzajemnej życzliwości więźniów jest tam zupełnie inny niż w łagrach, które przeżył Szałamow.

Myślę, że przez „Opowiadania kołymskie", gdy zostaną wydane w odpowiednim nakładzie, trzeba będzie przejść, choć jest to ciężka próba dla naszej wyobraźni. Dziwna sprawa: kto „t a m" nie trafił, słyszał przecież! Dowiadywał się, czego trzeba przez całe półwiecze! Ale psychologia rozmowy czy relacji ustnej jest chyba inna niż druku. A już zwłaszcza szkoła, przywykła, niestety, do takich prawd, które przekazuje książka, podręcznik...

Co zatem nowego wnoszą „Opowiadania kołymskie" poza opisami powszedniej obozowej udręki, jak już wspomniałem, znacznie cięższej niż gdzie indziej? Otóż są w tym zbiorze dwa zupełnie wyjątkowe rozdziały, godne porównania z relacją Nałkowskiej „Dorośli i dzieci w Oświęcimiu" i opowiadaniem „U nas w Auschwitzu" Borowskiego. Chodzi o „Zeszyt do rysunków" i „Sentencję". W pierwszym utworze Szałamow opisuje pozornie błahe zdarzenie. Oto grupa więźniów, grzebiąc w zlodowaciałym śmietniku, odnajduje jakieś podarte skarpetki, skórki chleba i do tego gruby zeszyt. Taki szkolny, do rysunków. „Dotykałem kruchego od mrozu papieru — wspomina bohater opowiadania — przewracałem oszronione, barwne i chłodne kartki. Ja też kiedyś malowałem, dawno to było — usadowiwszy się z farbami przy stole w jadalni koło naftowej lampy..."

Znaleziony zeszyt tchnął jednak grozą, a nie ciepłem wspomnień. Odzwierciedlał prawdę o regionie, który wypełniały obozy i więzienia. W zeszycie było bardzo dużo płotów. „Równe, żółte płoty, uwieńczone czarnymi liniami drutu kolczastego". Otaczały one ludzi i domy niemal na każdym obrazku. Nieznany uczeń uzupełniał swoją wizję rzeczywistości budkami wartowniczymi, strażniczymi wieżami. Jego ludzie nosili automaty, a jeśli zjawiały się zwierzęta, były to tresowane psy. Gdy mały autor improwizował na tematy z bajek, to jego Iwan Carewicz miał ubiór strażnika. Takie nasycenie wyobraźni dziecięcej jedynym z dostępnych światów występowało także w psychice dzieci więzionych w Oświęcimiu. Pisze o nich Zofia Nałkowska w „Medalionach".

Rozdział „Opowiadań kołymskich" noszący tytuł „Sentencja" jest koszmarnym studium zaniku życia wewnętrznego u osób więzionych przez dziesiątki lat. Bohater opowiadania stwierdza, że znajdował się już w stanie całkowitego zobojętnienia na wszystko. Nie przeżywał nawet uczuć nienawiści ani strachu, prawie nie doznawał męczarni głodu. Gdy po latach wydostał się z kopalni i przestano go bić, wrócił mu przede wszystkim lęk. Lęk przed tym, że wszystko się powtórzy. Kolejnym ludzkim odczuciem była zazdrość. Odczuwał ją wobec tych, co zginęli w 1938 i wobec tych, którzy żyją i coś tam jedzą. Potem zjawiła się litość dla zwierząt, wcześniej niż dla ludzi. Na koniec zaczęły powracać jakieś słowa, poprzednio zupełnie zbędne. Więzień uświadamia sobie, że przez znaczną część życia wystarczało mu około dwudziestu słów czy zwrotów, takich jak: „pobudka", „obiad", „sen", „łopata", „kilof", „Słucham was", „Zostaw popalić". Teraz nagle wrócił z dawnych czasów jeden wyraz idealnie bezużyteczny. W dodatku sam więzień nie mógł sobie początkowo przypomnieć, co on oznaczał. Była to „sentencja". „Sentencja! — krzyczałem wprost w północne niebo, w polarną zorzę (...) Ogarnęła mnie wielka radość". Współwięźniowie uznali, iż jest to zachowanie wariata albo — co gorsza — cudzoziemca.

Perspektywa jakiegoś — być może — końca kary nasuwa Szałamowowi refleksję: „Gazet i książek nie widziałem od lat i dawno nauczyłem się nie żałować tej straty. Pięćdziesięciu moich sąsiadów w namiocie również nie odczuwało braku słowa drukowanego". Nawet sędzia śledczy nie posługiwał się książkami. Kojarzy się to z treścią jednego z opowiadań Borowskiego. Jego bohater przypomina sobie, że pierwsze dni uwięzienia były dla niego prawdziwym szokiem także dlatego, iż nagle zabrakło mu książki i kartki papieru do pisania. Potem już przywykł do swojego kamiennego istnienia, które mu jednak nigdy nie zdołało wydrzeć słów ani myśli. We wspomnianym już opowiadaniu „U nas w Auschwitzu", będącym podobno przetworzeniem listów, wysyłanych przez Borowskiego do narzeczonej w Birkenau, zawarł autor jakąś syntezę epoki pieców i obozów. Pisał: „Pracujemy pod ziemią i na ziemi, pod dachem i na deszczu, przy łopacie, łorze, kilofie i łomie (...) Zakładamy podwaliny jakiejś nowej, potwornej cywilizacji. Teraz dopiero poznałem cenę starożytności. Jaką potworną zbrodnią są piramidy egipskie (...) Ile krwi musiało spłynąć na rzymskie drogi, wały graniczne i budowle miasta!" Starożytność — sądzi Borowski — była jednym olbrzymim obozem koncentracyjnym. Tak więc kartka z opowiadań Borowskiego odnosi się do niewolników Egiptu i Rzymu, do losu więźniów hitlerowskich obozów, a wbrew intencjom autora także i do radzieckich łagrów.

Już w jednym z moich poprzednich felietonów zastanawiałem się, co ma począć szkoła z coraz bardziej pęczniejącym ładunkiem wiedzy o próbach unicestwienia całych pokoleń w dobie tak zwanej najnowszej historii.

Gdy sprawdzałem tegoroczne prace maturalne, a potem wypracowania wymagane na egzaminie wstępnym do liceum, musiałem przeczytać kilkadziesiąt wypowiedzi o wojnie i okupacji. Podobny temat przypadł bowiem i osiemnastolatkom i tym, co ukończyli szkołę podstawową. Młodsi pisali o wierszu „Bagnet na broń", o Westerplatte, czasem o „Lotnej", z reguły o „Losie człowieka", starsi o „Niemcach", „Popiele i diamencie", czasem o „Rozmowach z katem", oczywiście także o opowiadaniach Borowskiego i „Medalionach" Nałkowskiej. Ani jeden ze zdających nie wspomniał o 17 września czy o deportacjach. Choć na lekcjach tematyka taka nie była pomijana, utrwalił się nawyk przemilczania tematów „niepewnych".

Od dłuższego czasu bardzo liczne publikacje (prasowe głównie, choć już nie tylko) mówią wielkim głosem o sprawach przysypanych piaskiem, jeśli nie śniegiem. Nie trzeba zapewniać, że są to relacje nad wyraz potrzebne, choć daleko im jeszcze do kompletności i przychodzą w obiegu oficjalnym tak bardzo późno. Sprawa katyńska powinna była zjawić się na lekcjach równocześnie z kwestią Oświęcimia czy Treblinki, a stało się to dopiero w roku 1980 czy 81. Wraca dziś po kolejnym okresie milczenia. A przecież w latach dziewięćdziesiątych nastąpią zapewne dalsze odkrycia, jeśli nie samych grobów masowych, to przynajmniej prawdy o nich. Chodzi jednak, oczywiście, nie tylko o martyrologię, lecz w ogóle o cały strumień informacji historycznej. Czy szkoła zdolna będzie należycie się przejąć faktem swobody badań, tak doniosłym dla ogólnej naszej świadomości? Czy nadąży?